

Tola Charak

SPO   
WIEDŹ  
EME  
RYTKI

Toła Charak

# SPOWIEDŹ EMERYTKI

***19 stanów świadomości***

Wydawnictwo Anagram  
Warszawa, 2021 r.

Redaktor książki:  
Agnieszka Krizel

Projekt okładki:  
Justyna Król

Fotografia na okładce:  
Bartosz Jastal

Korekta:  
Aneta Krasińska

Opracowanie komputerowe:  
Wanda Mierzejewska  
(e-mail: wanda.mierzejewska@interia.pl)

© Copyright by Toła Charak  
and Wydawnictwo ANAGRAM,  
Warszawa 2021 r.

ISBN 978-83-65554-77-2

Wydawnictwo ANAGRAM  
ul. Niekańska 35 lok. 1  
03-924 Warszawa

Księgarnia internetowa:  
[www.anagram.com.pl](http://www.anagram.com.pl)  
e-mail: [anagram@adres.pl](mailto:anagram@adres.pl)

*Zbieżność imion i nazwisk postaci  
występujących w książce  
oraz  
wyłuskanych historii, czy też opisanych zdarzeń,  
jest całkowicie przypadkowa.*

*Książka ze specjalną dedykacją dla mojej mamy.*

*Z wyrazami miłości.*

***Kocham Cię, mamo...***

## **Wstęp**

Nie muszę klękać w konfesjonale, aby się wyspowiadać.

Nie bardzo też pamiętam formułę, którą się wygłasza wprost do ucha duchownego.

Zresztą, z perspektywy tego z czego chcę się wyspowiadać, nie wystarczyłoby czasu.

Człowiek przede mną. Ludzie za mną. Tam i tutaj widoczny pośpiech.

Moje wyznanie potrzebuje jednak czasu.

Po sakramencie spowiedzi otrzymam do wypełnienia pokutę. Zapewne kilka zdrowasiek lub „Ojczy nasz”.

I co dalej?

Będzie mi lżej? Duchowo na moment i owszem.

Ale co dalej?

Nie potrzebuję chyba pokuty.

Pokutuję przez całe swoje życie.

Pokutuję za swoje czyny i za czyny innych.

Więc, czego oczekuję? Może zrozumienia?

Tak. Zrozumienia oczekuję.

Może ktoś pochyli się nade mną i po prostu wykaże się empatią?

Bo empatia to przede wszystkim zrozumienie.

Zrozumienie emocji, które podyktowały takie, a nie inne życiowe decyzje.

Emocje, które nie zawsze były dobre. Zarówno dla innych, jak i dla mnie.

To prawda, że przez całe swoje życie krzyczałam.

To prawda, że ekstrawertyzm w moim wydaniu mógł być dla większości zbyt dziwny.

Dziwny? Mało powiedziane.

Dobiegam siedemdziesiątki, jestem introwertyczką. Życie mnie do tego zmusiło.

Życie innych mnie do tego zmusiło.

Poddałam się z chwilą wypowiedzenia słów: „zostawcie mnie wszyscy w końcu w spokoju”.

I zostawili, a ja odnalazłam spokój.

Czy Ty, Drogi Czytelniku / Droga Czytelniczko, również doszukasz się w moich słowach zapisanych na kartach tej książki, spokoju?

Wątpię.

Dużo tutaj niedopowiedzeń.

Zapytasz, dlaczego nie weszłam we wszystkie aspekty głębiej?

Dlaczego wprost nie jestem w stanie powiedzieć, co mi leży na sercu?

Bo jestem tchórzem.

A poza tym „więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie jednak żałuję...”.

## **Zbuntowana**

– Może małolato ustąpisz mi miejsca? – zapytała jedna z pasażerek gminnego busa.

– A z jakiej racji mam pani ustępować miejsca? – odpowiedziałam na pytanie w dosyć dla siebie samej zaskakujący sposób, bo jestem kobietą, która przede wszystkim dba o dobro innych.

– Nikt cię nie wychował, smarkulo?! – pociągnęła temat dalej, już poirytowana, pani z dumą trzymająca torbę na zakupy. Dodam, że pustą torbę.

– Proszę się tak do mnie nie zwracać. Nie zamierzam z panią dyskutować. Tym bardziej o moim wychowaniu – stwierdziłam stanowczym tonem i odwróciłam głowę, by jak najdalej uciec wzrokiem od spojrzenia tejże pani.

Mam swoje lata.

Przeżyłam większość życia, ile mi go jeszcze pozostało?

Nie zmarnuję tego czasu na głupie dyskusje z nieznanymi mi ludźmi. Nie raz spotkałam się z faktem, że udaje starszą i chorowitą kobietę, a potem pierwsza w podskokach dobiega do półek sklepowych.

Nie raz spotkałam się z faktem, że ta, co miała się okazać starsza ode mnie, starszą wcale nie była.

Młodość mam w genach, może ona zmylić niejednego. Stąd zapewne te wszystkie niedopowiedzenia. Jednak za Chiny, nie włożę na siebie niczego, co może mnie postarzeć

nawet o dzień. Nie mówiąc o latach. I nie zamierzam z dumą reprezentować starości, która może i mocno koreluje z moim wiekiem, ale nie koreluje ze mną.

Z dumą zamierzam reprezentować czwartą młodość.

Nie poddam się.

Może i świat ode mnie tego oczekuje. Może ludzie ode mnie tego oczekują. Jednak proszę wybaczyć, ale nie spełnię tego oczekiwania.

I co z tego, że zostanę wytknięta palcem?

Że co? Że niby jak się już zostało babcią, to nie wypada, aby na dupie mieć założone jeansy, a na stopach sportowe buty?

Że co? Że jak się ma wnuki, to nie wypada, żeby odstawiać udo i dumnie nosić pierś do przodu?

Nic z tego. I może się to komuś nie podobać, ale pozostanę sobą.

Mam charakter ojca, cała reszta należy do matki. Jestem do niej podobna do tego stopnia, że przyglądając się sobie w lustrze, widzę właśnie ją. Oczy, nos. Nawet zmarszczki mam w tych samych miejscach.

Zastanawiam się, czy moje życie mogło być inne? Pytam, ponieważ nasze życiowe losy – mamy i moje, praktycznie się zdublowały.

Nie, nie losy. Zdublowały się nasze krzywdy, negatywne emocje i to, że w naszym domu wielu tematów po prostu się nie poruszało. Stanowiły swego rodzaju tabu. Mama mówiła: „bo gówna się nie rusza, gówno śmierdzi”.

Ale dlaczego nie ruszać? Bo nie wypada. Z szacunku do innych. Z szacunku do rodziny. Z szacunku do wartości.

O jakich wartościach w ogóle można mówić?

Bezpieczeństwo?

No nie bądźmy śmieszni.

Patrząc na przelewającą się przez naszą rodzinę jedną wielką intrygę, to o bezpieczeństwie nie można mówić. Można było, bo już nie można, walczyć. I walczyłam. Z całych sił. Dzisiaj, oprócz zmęczenia, nic więcej za tę walkę nie otrzymałam.

Miłość?

Nie bądźmy śmieszni.

Patrząc na to, w jaki sposób kochają członkowie mojej rodziny, to za każdym razem nasuwa się jedno określenie: zaborczość. Można teraz we mnie rzucić wulgaryzmem. Nie obrażę się. Ale faktem jest, że pewna zaborcza miłość praktycznie zabrała moją miłość do najbliższego człowieka. Pewna zaborcza miłość zabrała mi miłość do własnego dziecka. Pewna zaborcza miłość zabrała mi całą radość z bycia żoną, matką.

Szacunek?

Nie bądźmy śmieszni.

Patrząc z perspektywy przeżytych lat i życiowych doświadczeń wiem, że ktoś potrafił udawać bliskiego człowieka i okazywać mi szacunek, a potem w perfidny sposób wykorzystać moje zaufanie tylko po to, aby wyciągać ode mnie informacje. Po co? Mogę się jedynie domyślić.

Akceptacja?

Nie bądźmy śmieszni.

Akceptowano mnie tylko wtedy, kiedy byłam potrzebna. Pięknie ubrane pochlebstwa nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Przecież wyczuwa się, kiedy z ust drugiego człowieka

wydobywa się fałsz. Bo albo za dużo tych miłych słów się pojawia, albo zbyt wcześnie one znikają. Zresztą, głupia nie jestem! Dokładnie wiem, kiedy człowiek akceptuje drugiego człowieka. To się widzi, to się słyszy i to się czuje.

Wymyśliłam sobie, że wejdę ze światem w pewien układ.

Jeżeli to, co powyższe nie ma i tak racji bytu w naszej rodzinie, i oni wszyscy oczekują mojego milczenia, to ja pochwalę się obcym.

Dlatego o tym, co stanowi swojego rodzaju „gówno” w mojej rodzinie wypada mówić tylko wtedy, kiedy sąsiadka pojawia się w mieszkaniu. Wówczas mogę swobodnie na jej barki przelać całą moją gorycz. I dobrze, że jest świadek. Co prawda zbyt mały, by cokolwiek zrozumieć, ale jest. A może ona rozumie? Może w momencie, kiedy moje oczy zalewają się łzami, a usta milczą, po prostu wie, że dzieje się źle.

Kiedy to źle się zaczęło? Z chwilą, kiedy znalazłam się na tym świecie.

Mimowolnie dotykam kościstych kolan. Jestem bardzo chuda. To właśnie te kolana wiedzą, do czego służy groch. Pierwszorzędna kara za zbyt niedokładnie umytą podłogę – klęczenie na grochu z rękami w górze.

Czy z dzieciństwa pamiętam tylko tyle? Nie. Pamiętam o wiele więcej. Pamiętam, kiedy brat gonił mnie wokół ogromnego stołu w dużym pokoju, a mieliśmy jeden pokój, i niechcący wsadziłam mu do oka łokieć. Ja po prostu się odwróciłam i zasłoniłam rękami, a on się nadział na łokieć.

Jakie było moje dzieciństwo? Czy było szczęśliwe?

Patrzę oczami mojej mamy. Wciąż walczącej o nas, o nasze przetrwanie. Rok 1952. Była piękną kobietą. Trochę przy tuszy, ale nie gruba. Wysoka, jak na tamte czasy. Odziana latem w sukienki, a zimą w futro. I ta czapka z lisa, która dodawała jej tylko uroku. Nigdy w butach na wysokich obcasach, raczej na niskim słupku. W domu zawsze ubierała jeden ze swoich kuchennych fartuszków. Cała w rytmie dnia.

Mieszkaliśmy w jednym z bloków na osiedlu starych domów, którego już od dawna nie ma. Nie istnieje nawet w pamięci ludzi tam mieszkających. Zaraz przy szkole i boisku. Szkoły i boiska również nie ma, tak jak i naszego przydomowego ogródka, gdzie rosły piękne śliwy i stały klatki z królikami.

Tata dbał, by nie zabrakło mamie zajęć. Przez pewien czas chodziła nawet do pracy. Pracowała w kopalni i wydawała górnikom, którzy zjeżdżali pod ziemię, lampy. Potem zaczęła chorować.

Czym zajmował się tata? Można by rzec, że balował przez całe swoje życie. Z zawodu fryzjer zajmujący się realizacją inżynierskich projektów. Takie to były czasy, że bez inżynierskiego wykształcenia można było wykonywać zawód inżyniera.

Pedantyzm widoczny był w jego wyglądzie. Szczególnie dbał o włosy. Zadbane, ułożone, gdzie grzywka tworzyła falę. Nie był wysoki.

Uwielbiał wszelkiego rodzaju nowinki techniczne, na które praktycznie nigdy nas nie było stać. Biedy nie pamiętam. Przecież obiad można ugotować nawet na gwoździu.

„Wełna nie wełna, byleby była dupa pełna” – tak mawiała mama.

Taty do czasu, kiedy w moim mniemaniu osiągnęłam dojrzałość, w domu praktycznie nie było. Dostawaliśmy kartki z Indii z kilkoma skreślonymi słowami i pozdrowieniami. Czasami zdarzał się list, w którym przesyłał zdjęcie, które zawsze wywoływało u mnie zachwyt. Świat, w którym żył, a nasz świat, to dwa światy, jak dwie różne planety.

A potem widziałam, jak mama płacze. Może z tęsknoty?

Pytanie czy z tęsknoty za nim, czy z tęsknoty za normalnością, którą widziała na zdjęciach? Gdy tylko otarła łzy, wracała do rutyny. Wracała do świata, gdzie trzeba było wychować dzieci i zadbać o bezpieczeństwo. Słowo: bezpieczeństwo jest tutaj całkiem zasadne. To najwyższej ceniona wartość w rodzinie, w jakiej przyszło mi żyć.

Taty nie było.

Była mama, która realizowała obowiązki swoje i ojca. Dlatego w naszym domu szanowaliśmy ją i akceptowaliśmy wszystkie jej decyzje. I kochaliśmy siebie nawzajem. Bardzo.

A potem tata wrócił. Na stałe wrócił. Skończyły się kontrakty i zaczęło się wychowywanie praktycznie już dorosłych dzieci. I to nie był okres najpiękniejszych wspomnień. Płakałam ja, płakali bracia, płakała mama. Wiedzieliśmy, że każdy jego powrót do domu rozpocznie się od awantury. Czyżby aż tak denerwowało go życie na naszej planecie?

I pewnego razu mama wyjechała do sanatorium.

I pewnego razu mama nie chciała wrócić z tego sanatorium.

- Jedziemy! - krzyknął tata, stając w drzwiach mieszkania. O dziwo trzeźwy i bez krzty chęci rozpętania nam kolejnej awantury.

- Gdzie? - zapytałam z jednoczesnym odczuciem ulgi, że mamy dzisiaj dzień zupełnie niepodobny do pozostałych dni.

- Po mamę jedziemy!

Okazało się, że ojciec dostał list. List, w którym żona żegna męża. Nie chce wracać do takiej rzeczywistości i ma już dosyć takiego traktowania. A dzieci odbierze przy okazji, jak się urządzi w nowym miejscu.

Trzymał ten list w ręku. Zdążył się nawet na nim wyżyć. Wymięty, podeptany. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, że tak właśnie wyglądało dotychczasowe życie mamy. Pogięte i podeptane.

Zaciśnięta pięść nie oznaczała nic dobrego. Ojciec przybrał minę wojownika.

O co chce teraz zawalczyć?

O te wszystkie stracone już lata?

A może o wartości, do których realizacji za grosz się nie przyłożył?

Może chce zawalczyć o nasze lepsze jutro?

Lepsze dla niej, lepsze dla nas?

Nie.

Przeraziła go wizja osamotnienia i podołania tym wszystkim rodzicielskim obowiązkom. I nie próbie podołania. Musiałby się stać rodzicem na pełen etat. Pożegnać swoje dotychczasowe przyzwyczajenia, zerwać z nałogiem. Musiałby po prostu zacząć żyć dla nas i z nami.

- To się zbieramy. Trzeba przekonać mamę, aby do nas wróciła. - Skwitowałam ten żalony dla moich oczu obraz ojca.

- Nie wiem, co ona sobie wyobraża?! - burczał, ale już pod nosem tata.

A ja wiem. Zapewne znalazła swoje szczęście. Nie wiem, co to za szczęście. Czego dotyczy, w jakim aspekcie się pojawiło. Ale wiem, że skoro nie chce do nas wrócić, to musi to być ogromne szczęście. Z jednej strony czuję, że mama ma prawo do szczęścia, a z drugiej, że nas zostawia. Nas dzieci. Bo to, że zostawia ojca, najmniej mnie obchodzi.

Najgorsze jest to, że zostawia nas nie wiadomo na jak długo.

To był moment, kiedy po raz pierwszy poczułam własną samotność. Samotność, którą odczuwam do dzisiaj. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego, że nakreślone przez mamę zdania, skreślą moje poczucie przynależności na kolejne długie lata.

To był moment, kiedy po raz pierwszy zrodziło się we mnie poczucie walki. O rodzinę, o bezpieczeństwo, o akceptację, o miłość.

To był moment, kiedy jako dziecko rozumiałam, czym są wartości. Gdyby nie wyjazd mamy zapewne nie spostrzegłabym, że przez większość życia po tych wartościach deptano.

Wtedy nie mieliśmy samochodu, jedynym posiadanym pojazdem był jednośląd. Tata jednak postarał się i poprosił sąsiada, aby z nami pojechał. Po mamę. Głupio się przyznać przed ludźmi, że jedzie się po żonę, która właśnie postanowiła odejść. Dlatego, od momentu wejścia do samochodu, przyjęliśmy cel podróży – „jedziemy w odwiedziny”.

Nie sami. Tata zaprosił w podróż również Janka. Jak ociec nie przekona mamy, to albo zrobię to ja, albo jej syn. W sumie – w kupie siła.

W samochodzie jednak panuje cisza. Tata wpatrzony w szybę, zadumany.

Ja wpatrzona w szybę i wyobrażająca sobie moment spotkania dwojga sobie już zupełnie obcych ludzi.

Czy miłość odżyje? Wątpię.

Liczymy na rozsądek, który może przemówić do mamy. Na serce się leczy, a ona na serce choruje już od dawien dawna.

Jedynie Janek podejmował rozmowę z kierowcą. Przecież tematem przewodnim jest „jedziemy odwiedzić mamę”, a nie „ratujemy rodzinę”.

Po kilku godzinach dotarliśmy do celu. Przed nami brama wjazdowa na teren sanatorium. W nas obawy. Nie we wszystkich. Sąsiadowi było wszystko jedno.

Olbrzymi teren. Cudowne lato rozgościło się w zieleni oraz na ławkach, które o tej porze dnia były zajęte przez pensjonariuszy. Trzecia po południu.

Tata otworzył drzwi samochodu i zapalił papierosa. Widziałam, że jest mu ciężko, że zbiera myśli i słowa. I zbiera się cały w sobie z obawą, by to, co za moment zaprezentuje, było jak najbardziej przekonujące.

A ma tylko ten jeden moment. Ma tylko tę jedną okazję.

– To idziemy! – rozkazał.

Szliśmy chodnikiem prowadzącym prosto do drzwi ogromnego gmachu, w którym znajdowało się sanatorium. Wielkie okna, wielkie drzwi. Wszystko było wielkie.

– Jak znajdziemy mamę w tym ogromnym budynku? – zapytałam.

– Nawet, jeśli miałbym przeszukać wszystkie pokoje, to ją znajdziemy. Nie martw się – odpowiedział, a mnie na sercu od razu zrobiło się lżej.

Weszliśmy do środka. Sufit był tak wysoko, że praktycznie udawał niebo. W holu uśmiechnięci ludzie. Słysząc było głośne rozmowy i śmiech, który roznosił się po całym wnętrzu – surowym, marmurowym, zimnym. O tej porze dającym jednak ukojenie. Tego dnia upał był nie do zniesienia.

Tata podszedł do jednych państwa i wyciągnął zdjęcie. O coś zapewne zapytał, ponieważ reakcją ludzi było i zdziwienie, i kręcenie przeczące głową. Następnie podszedł do kolejnej i następnej grupy ludzi, uzyskując ten sam rezultat. Wiedziałam, że jego działania spełzną raczej na niczym.

– To co robimy? – zapytałam stojącego koło mnie mężczyznę.

– Nie wiem, ale ja idę teraz na zabiegi – odpowiedział.



Spojrzałam ze zdziwieniem. Pytanie skierowałam do brata, a odpowiada mi zupełnie obcy facet. Dopiero teraz zorientowałam się, że Janka zgubiliśmy po drodze. Odwróciłam głowę w kierunku drzwi. Otwarte na oścież dostarczały zmęczonemu słońcem wnętrzu, powietrza.

Przede mną widok, który na długo pozostanie w mojej pamięci.

Ławka. Niczym niewyróżniająca się. Na ławce siedzą ludzie, których znam. Mama i Janek. Ale nie siedzą sami. Przy mamie siedzi mężczyzna i trzyma ją za rękę.

Spojrzałam na tatę, który z wyraźną rezygnacją próbuje odnaleźć żonę. Przyznam, że rozbawiło mnie to jego nerwowe zachowanie.

Spojrzałam na mamę, która w dość energiczny sposób rozmawia z Jankiem. Jednak nadal trzyma nieznanego za rękę.

- Nie szukaj już mamy - poprosiłam ojca, kiedy ten zamierzał zarzucić pytaniami kolejnych ludzi.

- Znajdę ją. Przysięgam! - krzyknął.

- Nie musisz już szukać. Mama się znalazła - odpowiedziałam spokojnym tonem i wskazałam ławkę. Tę ławkę.

Błąd? Może.

W tym jednak momencie bardziej żał było mi ojca. Przecież nie może cały czas robić z siebie pajaca. Chwyił mnie za rękę i szybkim krokiem skierowaliśmy się w stronę tej ławki.

Mama, jak tylko nas zobaczyła, poderwała się i stanęła na baczność. Pan nieznanomy nadal siedział i czekał na mający się wydarzyć ważny moment w jego życiu. Teraz się przekona, czy pokochana kobieta zostawi dla niego całe swoje dotychczasowe życie.

Podchodząc bliżej, zauważyłam, że w mamie toczy się pewnego rodzaju walka. Z samą sobą. Do tego jej oczy! Oczy, które wyrażały jedynie przerażenie. Czy wystarczy jej sił, aby zaważczyć o szczęście, którego doświadczyła przy okazji poznania pana nieznanomego?

- Kaziu, wracamy do domu! - rozkazał tata.

Byłam pewna, że przygotował ciut dłuższe przemówienie na tę okazję. Jednak się pomyliłam.

- Ja nie wracam - odpowiedziała.

- Ty się nie wygłupiaj. Wracasz z nami do domu!

No ładnie. Teraz to już na pewno nie przekona mamy do powrotu. Zupełnie nie przygotował się do tej sytuacji. W sumie widać było, że go to wszystko przerasta. A jak ojca cokolwiek przerasta, to jedyną obroną własnej tożsamości zaczyna być jedynie dyktatorski styl bycia. Ten styl jest swego rodzaju jego ochroną.

To, że rozkazuje i nakazuje. To, że nikt nie jest w stanie się jemu sprzeciwić, dodatkowo dodaje mu poczucia bezpieczeństwa. W dodatku nikt nie ma odwagi wyjść naprzeciw z własną argumentacją, bo się po prostu boi. Od agresywnych ludzi większość trzyma się z daleka. Ale czy akurat w tej sytuacji, w jakiej go postawiła mama, wygra?

- Ja znalazłam tutaj swoje szczęście - odpowiedziała i kiedy wypowiadała te słowa, z ławki podniósł się pan nieznanomy.

Wysoki i przystojny. Bardzo dobrze ubrany inteligent o niesamowicie rzucającej się w oczy kulturze osobistej. Ubrany w ciemny garnitur. Kto, do licha, w sanatorium chodzi w garniturze? Do tego ta muszka. Myślałam, że ubiera się ją tylko na specjalne okazje. No tak. To była specjalna okazja. Może intuicyjnie ubrał aż tak galowy strój? Skąd jednak mógł wiedzieć, że ta okazja nadarzy się akurat dzisiaj?

- Jestem Antoni Kaźmierczak. Lekarz Antoni Kaźmierczak - przedstawił się pan nieznanomy.

To zabrzmiało bardzo poważnie.

- Józef. Mąż tej pani - zachowując kulturę osobistą, odpowiedział ojciec.

To zabrzmiało bardzo niepoważnie.

Zabawne, że jak człowiek staje naprzeciwko lekarza, to od razu przybiera pozycję niższego.

Tata w tym momencie stał się jeszcze niższy.

Po zapoznaniu się panów, nastąpiła niezręczna cisza. Mama spojrzała w moje oczy. Zapewne wszystkie argumenty, których mogłaby teraz użyć, już użyła w rozmowie z Janem.

- To jest twoje życie, Kaziu - zwrócił się do niej lekarz Antoni.

- Nie. To nie jest moje życie. To jest życie moich dzieci i nie mogę ich zostawić - odpowiedziała tak smutno, że wszystkim zrobiło się smutno z właśnie podjętej przez nią decyzji.

- Ja ciebie, kochana, rozumiem. Jeżeli jednak zmienisz zdanie, to ja będę na ciebie czekał - oznajmił i powolnym krokiem skierował się do budynku.

W tym momencie miałam go za bohatera. Z podniesioną głową kochanek oddala się od kochanki, przy okazji swoją postawą ogłaszając wielką wygraną.

Był wygrany. Nie skomlał jak pies. Nie namawiał, nie przekonywał. Zostawił podjęcie decyzji mamie i tę decyzję uszanował.

Spojrzałam na ojca. Tutaj nic więcej nie mam do powiedzenia.

- Byliście już w pijalni wód? - zapytał sąsiad, który właśnie się przy nas pojawił.

- Nie. I nie będziemy pili żadnej zdrowotnej wody! Jedziemy do domu! - nakazał tata.

Uważa się za wielkiego wygranego i już zapewne ma przed sobą własną wizję świętowania odniesionego sukcesu.

- A może, jak już tutaj jesteśmy, to skorzystamy z tej atrakcji? - poprosiłam.

- Atrakcje to my mamy w domu - oznajmił tata i skierował się do samochodu.

Rozpoczął z sąsiadem temat zupełnie nieadekwatny do sytuacji. Mama chwyciła mnie za rękę. Janek objął ją swoim ramieniem. Wracamy do domu.

Po powrocie, ojciec jakby zmienił swoje podejście do życia i do rodziny. Nie bez powodu piszę „jakby”. Coraz częściej zaczął znikać z domu. Miał własne towarzystwo, a im więcej miał przy sobie pieniędzy, tym to towarzystwo było większe.

Nieraz wyciągaliśmy go zupełnie pijanego z barów, które stały się dla niego drugim domem. Nieraz, zamiast zająć się własnymi przyjemnościami, odrywaliśmy ojca od jego przyjemności.

Wtedy mama wpadła na genialny pomysł, jak przywrócić tatę do normalności, przy okazji spróbować zawałczyć z jego nałogiem. Bo to już był nałóg. Picie alkoholu w sanatorium było zabronione! Załatwiła więc skierowanie i tata nie miał wyjścia. Musiał wyjechać. Był aż dwa razy.

Za pierwszym, wrócił do domu już po tygodniu, ponieważ nie zdążył wrócić z baletów o wskazanej porze.

Za drugim, złapali go, gdy przeskakiwał przez płot z pełną torbą wódki i odesłali do domu już na trzeci dzień.

Widocznie, Józefik miał inne wyobrażenie dochodzenia do pełnej sprawności. A może nałóg był na tyle silny, że tata zawsze był stawiany na przegranej pozycji?

Życie toczyło się swoim biegiem. Mama zaczęła uspokajać swoje nerwy, godzinami spędzonymi nad dzierganiem swetrów. Wełna nie wełna...

## **Tak mi się teraz przypomniało**

Rok po śmierci mamy, odszedł tata.

W samotności, ponieważ po tym, jak zoperowali mu krwiaka w mózgu, postanowiliśmy oddać go do domu opieki.

Wielki gmach i siostry zakonne. Tata nigdy nie chodził do kościoła. Nie pamiętam, aby nawet się modlił. Ulokowaniem w domu opieki, zabraliśmy mu wszystko! Zabraliśmy mu całą radość z życia.

Nie mógł sobie Józefik zapalić. Nie mógł przechylić kieliszka. Zmusiliśmy go do przejścia na pełen detoks.

I co? Zmarł.

Stojąc nad trumną, nie mogłam uwierzyć, że już go nie zobaczę. Nawet nie zdążyłam się z nim pożegnać. Tośka włożyła mu pod poduszkę ćwiarteczkę jego ulubionej wódeczki.

Dobrze.

Rok wcześniej mamie włożyliśmy do trumny talię kart i papierosy. Pamiętam, że w trumnie wyglądała, jakby spała. Miała jednak otwarte jedno oko. Jakby na nas patrzyła, jakby kontrolowała kto przyszedł jej powiedzieć ostatni raz: do widzenia.

Tych dwoje przeżyło ze sobą pięćdziesiąt lat.

Tych dwoje, dalekich od siebie ludzi, na końcu swojego życia tak pięknie dla siebie bliskich.

Czyżby na ostatniej prostej dotknęła ich miłość?

## **Zaskoczona**

Wyrosłam na piękną kobietę. Na tyle piękną, że niejednen mężczyzna ubiegał się o moją rękę. Wiedziałam, że muszę opóźnić zamążpójście ze względu na mamę. Nie mogę jej zostawić samej z tatą. We mnie ma oparcie i wsparcie.

W tamtym okresie podjęłam naukę w technikum ogrodniczym. I przyznam szczerze, że nie byłam grzeczną dziewczynką. Teraz wiem, że to było poczucie wolności. Udowodnienie, że do nikogo nie należę!

Ktoś jednak musiał stać się dla mnie chodzącym alibi. Zaczęłam spotykać się z Edkiem. Zapewne Edek spodziewał się o wiele więcej niż to, że już w niedługim czasie tak po prostu powiem mu: żegnaj. Póki jednak mogłam z tego alibi korzystać, to korzystałam. Do momentu, kiedy na mojej drodze pojawił się on.

Stefana poznałam na jednej z potańcówek. Stał oparty o ścianę i palił papierosa. Wyglądał niczym bohater jednego z kryminalnych filmów.

Rok 1971.

Brązowa marynarka i brązowe spodnie. Tak zwane dzwony, które od czasu do czasu odkrywały piękne mokasyny. Kraciasta koszula i wyrazisty krawat dodawały tylko uroku.

– Czy pani zatańczy? – zapytał, kiedy przechodziłam obok niego.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

Podczas tańca gwizdał, co nie tylko dla mnie było zaskakujące, ale rozbijające. Pięknie prowadził. Czulałam, że z każdym krokiem jesteśmy stworzeni dla siebie.

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

